

jeszcze O ADAPTACJACH

W iadomo co się dzieje gdy przyjdzie reżyserom przenosić na scenę czy do filmu któreś z pomnikowych dzieł prozy. Spór między nieprzejednanymi wrogami wszelkich adaptacji a wymaganiami kina i teatru trwa, trwa i trwać będzie. Na szczęście nie przeszkadza to coraz ostrejszej penetracji reżyserów w narastającą falę literatury powieściowej i nowelistycznej. W sytuacji, gdy ze świecą w ręce szukać trzeba interesujących nowin dramaturgii teatralnej i filmowej, książki są najzasobniejszym źródłem tematów i inspiracji.

A w pobok przyszła jeszcze telewizja. Moloch nie nasycony. Nic nowego nie mogła ona w tej okolicy wymyślić — podobnie jak w formach dziennikarskich, gdzie poszła tropem prasy i radia — tu zapatryła się w doświadczenia teatru i filmu. Inaczej być nie mogło. Wobec tradycji należy się ustawić polemicznie, obyć się bez niej jednak nie można. Jest to po prostu kwestia ciągłości historycznej.

No, więc to wszystko, co wyżej, dotyczyło przeróbek prozy dla kina i teatru. Tymczasem mamy do czynienia jeszcze z nowym zjawiskiem — bagatela — adaptacji pełnych, skończonych utworów dramaturgicznych. Że takie zabiegi nie wypadają najszcześliwiej mieliśmy możliwość przekonać się na przykładzie „Zjazdu koleżeńskiego” pióra Mariana Promińskiego. Sztuki interesującej, napisanej ręką rasowego pisarza, pozbawionej jednak przez owe cięcia adaptacyjne części swej wartości i urody. Oczywiście pojemność czasowa telewizji jest ograniczona, trudno budować dwugodzinne spektakle, cierpliwość publiczności też ma swoje granice. No, ale najwięcej na tych operacjach cierpi pisarz. Tyle się mówi o dotkliwych zabiegach na materii literackiej zmarłych dawno klasyków, może także warto pomyśleć o tym, jak kraje się żywych pisarzy, co?

Srodowego zaś wieczora dano z Warszawy operę „Axur — Król Ormus”. Muzyka A. Salierego, libretto Wojciecha Bogusławskiego. Reżyseria K. Meissner. Cóż to była za sympatyczna zabawa! Otworzyłem telewizor raczej przypadkowo i już przy nim zostałem. Twórcy tego spektaklu wpadli bowiem na dobry pomysł zbudowania pastiszu dawnego widowiska operowego. Posłużono się w tym celu świetnymi aktorami dramatycznymi, dobrymi solistami, inteligentną i dowcipną

robotą scenograficzną M. Chwędzuka i w sumie wyszło widowisko wielce ujmujące. Z muzyką w telewizji jest coraz lepiej.

Z programu ubiegłego tygodnia chciałbym jednak zwrócić uwagę przede wszystkim na film dokumentalny o Wietnamie — Krzysztofa Gradowskiego. Nie wiem jak to się stało, ale w tych gazetach, które miałem pod ręką, a także w tygodniku „Radio i Telewizja” — w ostatnim czasie zresztą nabrał on impetu redaktorskiego — nie spostrzegłem zapowiedzi tego obrazu. A szkoda, szkoda zważyć na przypadek tak cenne pozycje publicystyczne, polityczne i wreszcie artystyczne. Jest to jeden z filmów poświęcony Wietnamowi zrobiony z rzadką ekspresją dramatyczną. Przypomina on mi zresztą, ten obraz Gradowskiego, znakomity i chyba niedościgniony film o wojnie wietnamskiej zrealizowany przez reżyserów kubańskich.

Jeśli mowa już o kinie telewizyj, parę słów o ostatnim odcinku popularnego serialu „Stawka większa niż życie”. Mam na myśli „Edyta” w reżyserii Andrzeja Konica. Pamiętam, że kiedy ta seria Andrzeja Zbycha szła jeszcze w wersji teatru TV, zacząłem na nią życzliwiej patrzeć właśnie od momentu gdy na ekranach ukazała się owa „Edyta”. Muszę powiedzieć, że i tym razem ten odcinek nie zawiodł. Wydał mi się on najbardziej interesujący ze wszystkich dotychczas pokazanych zarówno ze względu na scenariusz jak i na realizację telewizyjną.

Myślę także, że obok owej fabularnej serii filmowej idą jeszcze taśmienie, którym krytyka — jak mi się wydaje — poświęca za mało uwagi. Mam na myśli zarówno serię dokumentacyjną zatytułowaną „Polacy na frontach II wojny światowej” jak i publicystykę, która mieści się w cyklu „Drogi i bezdroża II Rzeczypospolitej”. Przyjdzie mi jeszcze o tych programach szerzej napisać. Ostatniej soboty właśnie odnotowaliśmy pozycję zatytułowaną „W cieniu marszałka”.

Wreszcie trochę rozrywki. Doroczny bal mistrzów sportu tym razem pokazano o wiele atrakcyjniej niż przed laty, gdyż prezentację mistrzów łączono z filmową ilustracją ich sukcesów olimpijskich. Był jeszcze filmowy program z Fredem Astairem oraz transmisja z festiwalu piosenki studenckiej. Myślę, że rewelacji na nim nie odkryto.